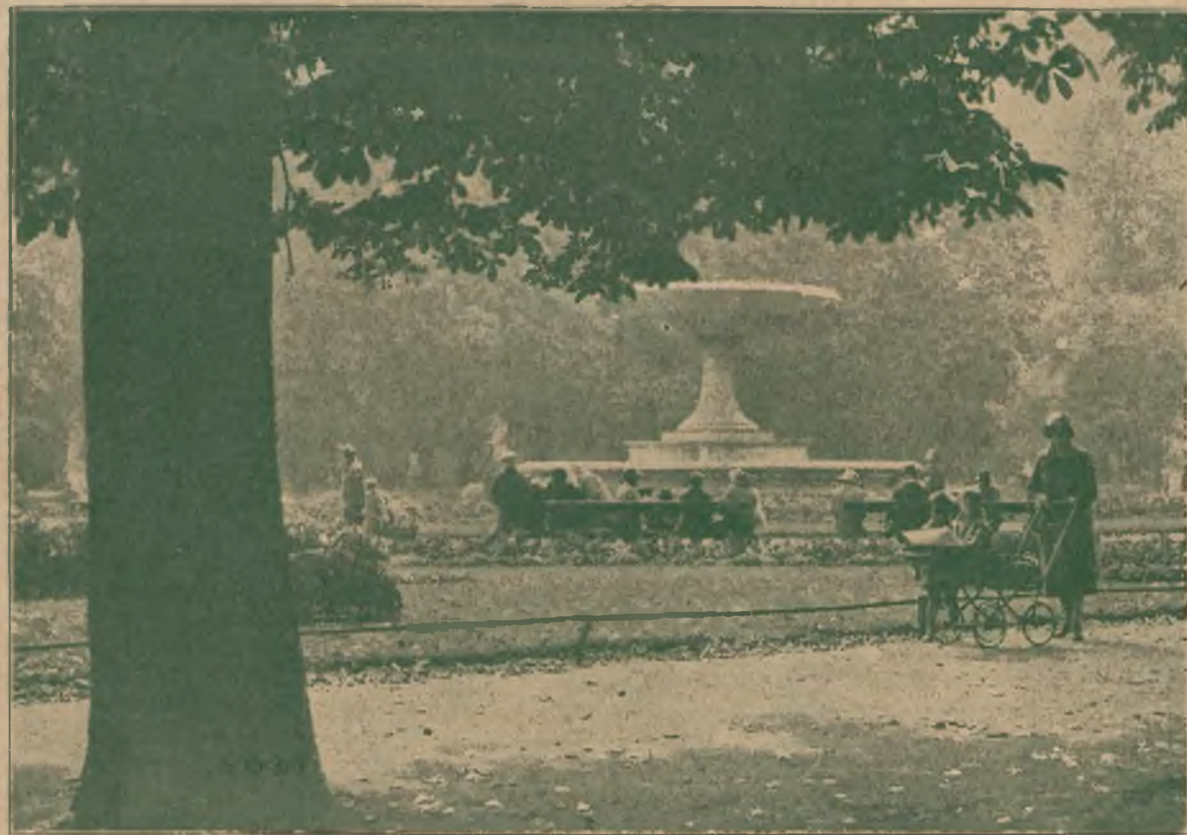
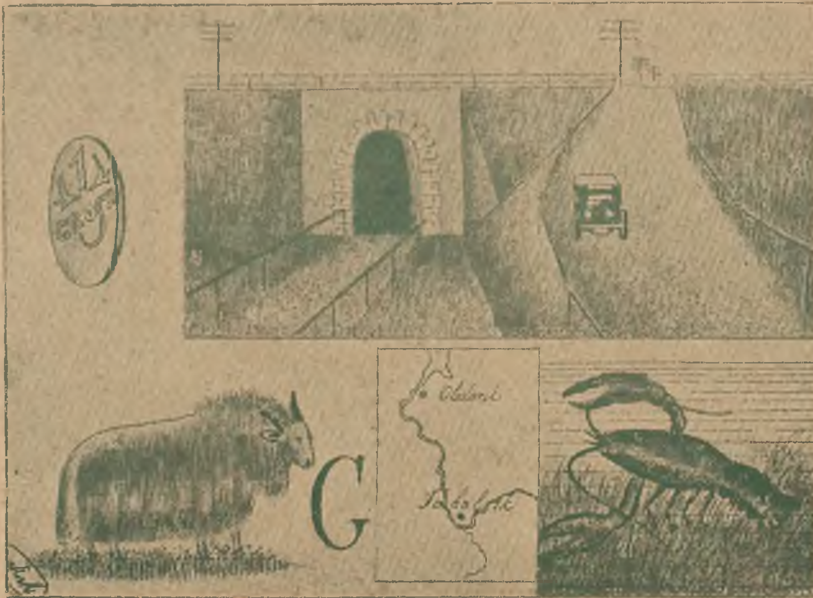
30 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

Nr. 17 — Rok I

-Famulus- -Famulus-





Z redakcyjnego biurka

Autorowi „Wyprawy po złote runo". Nie umieścimy. Rzecz napisana dość lekko, lecz mało treściwa. Ani feljeton, ani nowela, ani opowiadanie — coś nieokreślonego.

Prenumeratorom w Sępolnie. Niestety, musimy się przyznać, iż niedokładność nastąpiła całkowicie z naszej winy, a nie księgarni. Błąd został już naprawiony.

Anonimowemu obrońcy Kasprowicza. Gdzie Rzym, gdzie Krym? Była to notatka biograficzna, a nie wyczerpująca biografja. Na przyszłość trochę więcej znajomości rzeczy, o ile się chce kusić kopje.

Autorce wiersza „Shimmy" i innych. A więc wydrukujemy. Proszę się nigdy nie uciekać do anonimów. U Pani była to niepotrzebna skromność, zwykle zaś jest to wulgarny wybryk, którym posługują się ludzie bez kultury i elementarnego wykształcenia.

K. Królikowskiemu, W. Sobieskiemu, I. Gnoińskiej. Zadania rozrywkowe przyjmować możemy tylko takie, które pod względem formy nadają się do ilustracji bez wszelkich przeróbek. Prosimy nadesłać próbę podobnej pracy, odpowiemy w jednym z następnych numerów.

I. F. Słuszną reklamację uwzględniliśmy. Nadeślemy egzemplarze w ilości wskazanej, zgóry dziękując za łaskawą o nas pamięć.

Frankowi. To nie jest literatura. Utwór ciężko przerobiony z filmu, bezwzględnie nie nadaje się do druku.

W. Auderskiemu. Zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

Wandzie. Fotografje do pisma kopjowane być winny na błyszczącym papierze, czarne w tonie lepiej wychodzą. Chętnie skorzystamy z archiwum. Niewątpliwie znajdą się w niem interesujące rzeczy.

Witoldowi. Podobnych informacyj udzielić może tylko odpowiednie biuro, jak „Credit", „Confidentia", „Piechocki" i t. p.

W. S. S. A. Poradnia ogłoszeniowa założona została obecnie, jako pierwszy tego rodzaju eksperyment. Rezultaty dotychczas są niezłe.



Wśród książek

Jan Galicz: „Jenerał Józef Bem, jego życie i czyny". Nakładem Macierzy Szkolnej Ks. Cieszyńskiego. Cieszyn, 1927.

Ciekawa ta monografja ukazała się w wilję przygotowywanego uroczystego obchodu przewiezienia do kraju zwłok dzielnego bojownika narodowego, jenerała Józefa Bema. Staranne opracowanie materjałów historycznych, barwność i żywość opisów walk, w których szczególne uwzględnienie znalazła kampanja 1848/9 roku, ułatwienie orjentacji w mało spopularyzowanym tym materjale przez dodanie dokładnych mapek i opisów topograficznych czynią z książki tej jedną z ciekawszych monografij historycznych, jakie ukazały się na rynku księgarskim.

Ks. Antoni Szlagowski: „Mowy narodowe". Nakładem księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu.

Nie było donioślejszego momentu we współczesnem życiu narodowem Polski, by wielce utalentowany kaznodzieja i wielki patrjota ks. prałat Szlagowski nie zabierał głosu. Więc w setną rocznicę zgonu Kościuszki, w 2-ą rocznicę zgonu Sienkiewicza, w rocznicę bitwy pod Raszynem, na dzień święta amerykańskiego, ku czci pomordowanych przez bolszewików przedstawicieli Polskiego Czerwonego Krzyża i t. d. przemawiał, budząc w sercach wyższe uczucia i kierując myśl słuchaczy ku doniosłości tych uroczyście obchodzonych momentów.

Zbiór ten nietylko ważny jest dla kapłanów, którzy wiele nauczyć się mogą od jednego z najlepszych mówców kościelnych dzisiejszej doby, świetnie bowiem napisane mowy mają doniosłe znaczenie artystyczno-literackie.

Kazimierz Bukowski, „Władysław St. Reymont. Próba charakterystyki". Nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Nie posiadaliśmy dotychczas monografji, poświęconej nieśmiertelnemu twórcy „Chłopów". W książce swej autor postarał się dać jak najdokładniejszą syntezę twórczości Reymonta, doskonale ujmując przewodnie linje duchowego rozwoju wielkiego pisarza i analizując tło współczesnych prądów kulturalnych i artystycznych. Subtelny rozbiór poszczególnych utworów, wyczerpująca bibljografja — oto poważne zalety, książki, które pozwalają nam polecić ją szerokiemu ogółowi czytelników.

Opłata pocztowa ryczałtem · 5—12 czerwca 1927 r. · Cena 30 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie . . . Zł. 1.—
Kwartalnie. . . „ 3.—
Półrocznie. . . „ 6.—
Rocznie . . . „ 12.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Miodowa 5, tel. 28-33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-ej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca. Redaktor działu propagandy i reklamy I. K. Librach przyjmuje od 9-10.
Konto P.K.O. Nr. 14315 Konto P.K.O. Nr. 14315

DLA PRENUMERATORÓW CO TYDZIEŃ BEZPŁATNY DODATEK POWIEŚCIOWY I NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ.

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 17.

Kartki z raptularza

ŻAR POD STOPAMI... Niedźwiedź rosyjski, oskubany przez pachciarzy, stanowiących jego rząd, porykuje...

Coraz goręcej wmawiają w niego, że wszystkiemu są winni ci, co nie chcą sowieckiego raju, ale jakoś coraz mniej w to wierzy. Powoli przeciera zaspane oczy i widzi, że z krwi proletarjatu miejskiego i wiejskiego zrodziły się wygody, rozkosz i przepych dla bandy oszustów, tumaniących głupie umysły szumnemi hasłami i obietnicami.

A tu jeszcze na domiar złego plecy pokazuje świat cywilizowany, ze wstrzętem i pogardą odwracając się od cuchnącej dziegciem zarazy wschodniej.

Jakoś coraz niechętniej wtórują tłumy rosyjskie okrzykowi przywódców:

— Wojna! Wojna!

Ideologja zbankrutowała.

Coś niedobrze!

Wielkorządcy sowieccy żar czują pod stopami...

BIBUŁA NIEMIECKA... Niedawno mieliśmy możność stwierdzenia, ile centnarów bibuły prasowej z Berlina nadchodzi dziennie do Wielkopolski i z godną podziwu szybkością kolportowane jest po całym obszarze byłej dzielnicy pruskiej.

Niektóre pisma niemieckie chętniej znajdują nabywców, niż podobne wydawnictwa polskie. Przykładem niech będzie jedno z większych miast Wielkopolski, gdzie „Berliner Illustriete Blatt“ rozchodzi się w liczbie 6.000 egzemplarzy, równej niejednemu nakładowi polskiemu.

— Bojkotować, to jedyna rada — oświadczył jeden z poważnych miejscowych obywateli.

— Synowi memu skasowałem pieniądze na drobne wydatki, gdy ujrzałem go, kupującego „Uhu“ — z oburzeniem zaznaczał pewien zacny wielkopolanin.

Zapewne, ale poza bojkotem jest jeszcze inna rada i broń.

Ożywić i ustępnić prasę ojczystą tak, aby wszelkie „Uhu“ i „Elegante Welt“ stały się zbędne.

Niestety, warunki, w jakich się znajduje praca wydawnicza w Polsce, są jeszcze tak nieuregulowane i ciężkie, że najskuteczniejsza broń spoczywa w pochwie.

OWCZY PĘD... Pewien szynkarz miał szynk na rogu i dobrze mu się powodziło, bo w mieście na brak pijaków uskarżać się nie należało. Pozazdrościł mu inny i otworzył szynk na drugim rogu. Obu działo się jeszcze wcale nieźle, a pono nawet trunki były lepsze. Wtedy trzeci otworzył szynk na trzecim rogu. Zaczęło się dziać źle. A gdy czwarty założył na czwartym rogu — wszystkich djabli wzięli.

Złośliwi utrzymują, że jest to zasada polskiego handlu i polskiej konkurencji.

Owczy pęd!

Swego czasu taki owczy pęd panował na zakładanie banków, banczków i kantorów giełdowych. I wszystkie prawie djabli wzięli.

Obecnie owczy pęd przerzucił się na zakładanie sklepów i handelków „radjo“. Co drugi dom w mieście, to sklep „radjo“.

Gdzie ich niema?

Handlują aparatami „radjo“ i mleczarnie, i wędliniarnie, i sklepy materjałów piśmiennych, i mydlarnie — słowem wszędzie są oddziały sprzedaży aparatów i części do „radjo“.

I znowu wszystkie djabli biorą. Bo dużo jest w Polsce rodjotów, ale więcej jeszcze tych co ogarnięci są nagminną zarazą zakładania sklepów „radjo“.

NARESZCIE SŁOŃCE!.... Piękna wiosna polska, zdaje się, odeszła do krainy wspomnień... Tak wyglądamy jej co roku, a także figle nam płata od szeregu lat, drapując się nie w powiewną szatę urodziwej dziewoi, lecz w kosmate futro marcowego kawalera i każąc dzwonić zębami w opiewanym przez poetów maju.

Aż szczęki nas zabolały w tym roku.

Może czerwiec będzie łaskawszy i roztoczy czar i urok zbliżającego się lata.

Nareszcie wyjrzało słońce, przebijając oponę mgieł lodowych, które wisiały nad nami, jak głaz udręki, przez całą wiosnę.

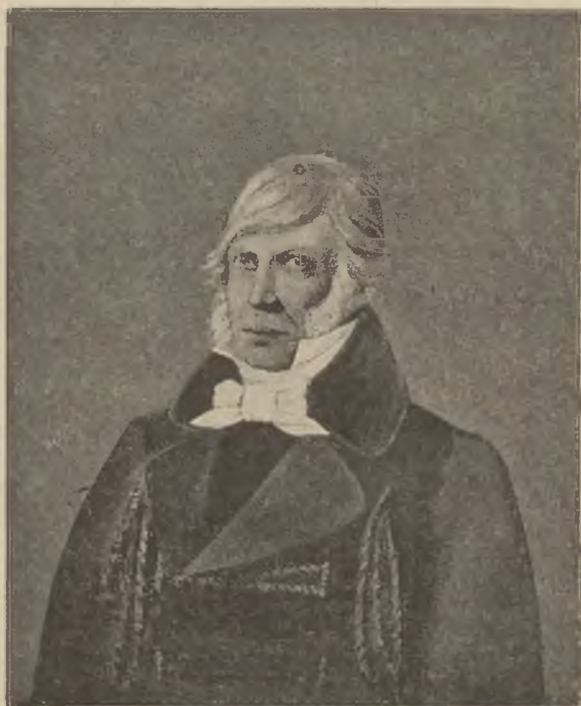
Pierwsze ciepłe promienie wydają się nam upałem tropikalnym.

A może to wszystko dlatego, byśmy, zdemoralizowani ohydą obyczajów powojennych, odczuli krasę i potęgę słońca, bez którego nic warte jest ludzkie życie i ludzkie istnienie?

Famulus.



PRZY KOMINKU



Jan Ulrich, nadworny ogrodnik króla Fryderyka Augusta, mianowany 20 marca 1808 r., drugi z kolei opiekun Ogrodu Saskiego w Warszawie

1727 — 1927...

Dwa stulecia, a ile zaszło zmian w sercu stolicy Polski, na placu Saskim i w Saskim ogrodzie!

Ogród Saski, założony przez Augusta II, monarchę, odznaczającego się zamiłowaniem do hulaszczego i zbytkownego życia, był przeznaczony na dodania splendoru stolicy i, rzeczywiście, był w owych czasach tem samem, co świetne ogrody „Tuileries" w Paryżu.

Ruch panował tu niezmierny i spotkać można było w cieniu szpalerów i alej wszystko, co Warszawa najpiękniejszego, najwytworniejszego i najświetniejszego gościła w swoich murach.

Świetne czasy Stanisława Augusta, miłośnika kultury i piękna, nie bez śladu pozostały dla Ogrodu Saskiego.

Pierwsze zato chmury na horyzoncie ogrodu przyniosły ostatnie czasy panowania Stanisława Augusta.—Insurekcja, gdy ohydna szubienica, na której powieszono księcia Massalskiego, cień swój groźny rzuciła u wrót pięknego ogrodu.

Najgorsze czasy przyszły z chwilą wkroczenia do Warszawy wojsk Napoleońskich, gdy trawniki zamieniono na pastwisko dla chorych koni lekkokonnego pułku Gwardji Cesarskiej, gdy tysiące żołnierza biwakowało tu tygodniami.

Nie pomogły zarządzenia władz, zmierzające do uchronienia salonu Warszawy od zniszczenia, a wiemy sami, iż wszelkie zabezpieczenia Skarbu przed szkodami wynikłemi nie zmieniały zbytnio samej istoty rzeczy, tak iż lat trzeba było i ogromnych wysiłków i kosztów, by zagoić zadane przez Marsa rany na drzewach, trawnikach i klombach.

Tragiczne momenty ujrzał ogród Saski, gdy nieważona i łżona przez satrapę, Wielkiego Księcia Konstantego, młodzież wojskowa życie sobie odbierała na wzgórku obok dzisiejszego teatru Letniego.

Powstanie Styczniowe nową kartę otwiera w historji ogrodu, który w owych czasach staje się istnym „salonem" konspiracji patrjotów.

O tragicznym epilogu tych szlachetnych poczynań, w których prym trzymała młodzież szkolna i akademicka, pomimo czujnych oczu policji rozdając pisma propagandowe i proklamacje, pisze Gomulicki w swoich wspomnieniach o Warszawie:

„W późnej jesieni 1864 roku plac Saski był widownią sceny ohydnej, jednej z tych, które ludzkość cała ze zgrozą i wstydem wspominać powinna. Wieszano tam ostatnich powstańców — tych właśnie najczcigodniejszych, niezłomnych, którzy usque ad finem dotrwali i którym wróg szlachetny, rozumiejący i szanujący bohaterstwo, pokłon, by oddał wojskowy".

„Ciała męczenników kołysały się na szubienicach do zmierzchu. A na niebie paliła się nad nimi zorza krwawa, jak nad Golgotą...".

Przyszedł czas martwoty politycznej, i nic nie zamącało cichych schadzek, jakie miały miejsce na ławkach ogrodu, typowe obrazki z romansów z przed 40 lat.

Powoli jednak rozrost miasta i jednocześnie napływ obcych żywiołów, które ogród Sasów właśnie oblubowały sobie nietylko dla zabaw brudnej i krzykliwej dzieciarni, ale również zgiełkliwych dysput o handlowym charakterze, do niepoznania zmieniły spacerowy, „salonowy" wygląd ogrodu, zamieniając go na wielki skwer w jakiemś małem prowincjonalnem miasteczku.

Jedyną spokojniejszą oazą został kawałek ogrodu, przylegający do Grobu Nieznanego Żołnierza.

Nie pomogą już żadne usiłowania, czasy splendoru Ogrodu Saskiego miejsca ustąpiły innym, w których należałoby raczej otworzyć szeroką arterję komunikacyjną poprzez ogród, tym sposobem zadość czyniąc wymogom współczesnej stolicy.

Historja ogrodu Saskiego ściśle wiąże się z historją ogrodownictwa polskiego.

Szereg wybitnie zasłużonych ogrodników rękę swą przyłożył do rozkwitu ogrodu, poczynając od pierwszego jego założyciela Jana Jakóba Menckiego, jego następcy Jana Ulricha, Sauvage'a i Sztrobla, Piotra Hosera, kończąc na pospolicie znanych w naszej stolicy ś. p. Franciszku Szaniorze i obecnym ogrodniku miejskim, p. Leonie Danielewiczu.

Przymówki na czerwiec

Na Zesłanie Ducha Świętego

Do Świętego Ducha,
nie zdejmuj kożucha,
a po Świętym Duchu,
chodź często w kożuchu.



Dyplom pierwszego ogrodnika Ogrodu Saskiego Jana Jakóba Mencke, nadany w 1712 roku przez króla Augusta II

Nie łatwo było zostać majstrem jakiegoś rzemiosła w dawnej Polsce.

Ramy organizacji cechu w długich i zawiłych paragrafach statutów ściśle określały zarówno formalności, którym podlegano przy wstąpieniu do cechu, jak też wszelkie okoliczności praktykowania rzemiosła oraz formy współżycia majstrów między sobą.

Wstąpienie do cechu uzależnione było przedewszystkiem od wykonania pewnej pracy, którą krytycznie rozpatrywał surowy sąd cechowych.

Praca ta niełatwa była do wykonania, rzemieślnik bowiem siłą faktu, iż maszynizm powoli bardzo powstawał, musiał być poniekąd uniwersalnym.

Weźmy naprzykład cech krawiecki.

W XVI wieku młody kandydat na majstra wykonać miał, aż 24 „sztuki", które obejmowały najróżnorodniejsze szaty — męskie i żeńskie, świeckie i duchowne, a nawet części ekwipunku wojskowego.

Oto spis tych sztuk: „kropilny płaszcz", ornat z krzyżem, ornat bez krzyża, tunicela, antepedjum, rewerenda z kołnierzem, kaptur biskupi, płaszcz doktorski, kaptur zakonny, koszula mnisza, namiot, „dek" koński, „forstuk" chłopski (sukmana), „forstuk" niewieści, „jeździecka sukienka", „portki", i t. p.

Sztuki te przy egzaminie należało „pisać i gadać", to znaczy narysować względnie objaśnić, jaka materja i ile brać należy.

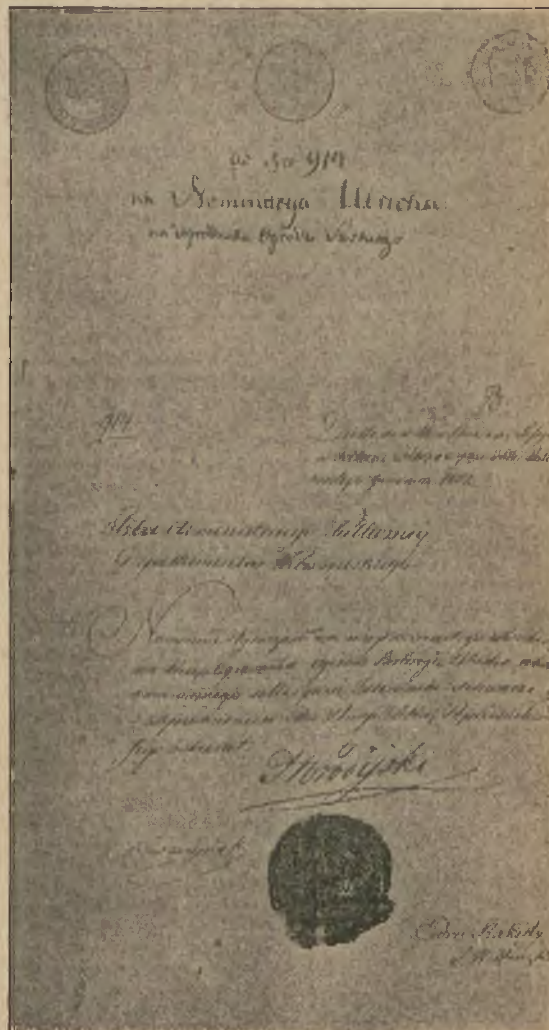
Oczywista, że podobny egzamin trwał parę dni, a zakrapiany bywał obficie na koszt kandydata, „aby braczya dla nyego nye syedzyeli na czczo".

Niemało musiał się wykosztować biedny kandydat, gdyż jadłospis, ściśle przez statuty określony, ilością paragrafów nieomal odpowiadał litanji sztuk.

Dokładny opis tych powinności brzmi jak następuje: „2 sądki piwa przy sztukach, pieczeń na śniadanie i gęś dobra przy sztukach, 6 ćwierci piwa przy sztukach, 2 pieczenie dobre na kolację forstukową, 6 kapłonów dobrych (4 do ryżu, 2 do pieczenia), 4 gęsi (3 do pieprzu, 1 do pieczenia, cielę dobre „cobi się panom bracy podobało", ryżu, pieprzu, szafranu, korzeni, rodzynek dostatek, chleba „rżanego i pszenicznego" dostatek, świec na kolację i nazajutrz, 4 gomółki i muzyka, pieczeń albo ryba nazajutrz, trzecia beczka piwa, kiedy bracia rozkażą i pieczeń lub ryby do niej"

Ucztę tę zwano „konsolacją braterską", biada zaś temu, kogo zbyt obfite ucztowanie doprowadziło do nieprzystojnego zachowania się, prócz despektu bowiem, jaki go za to spotykał, karę płacił, którą w ten sposób statut określał:

„Ktoby z opilstwa womith uczinil w bractwie winien złożyć 2 funty wosku".



Dyplom ogrodnika Ogrodu Saskiego, nadany Janowi Ulrichowi w roku 1808 za czasów Księstwa Warszawskiego

ZOFJA SZELIGA

Korale

Jasny, wiosenny poranek, skąpany w słońcu i radości. Przechodziłyśmy właśnie koło bogatych wystaw sklepowych. Czego tam nie było? Tyle światła, tyle jasności biło od szyb, gdzie się przeglądało poranne słońce. Na ulicy roiło się od roześmianych dzieciaków w barwnych sukienkach, śpieszących do szkoły.

Wtem moja towarzyszka trąciła mnie w ramię:

— Patrz! patrz! — rzekła.

Przed wystawą zabawek stała mała dziewczynka, odziana ubogo, — z książkami pod pachą, z przyciśniętym noskiem do szyby. Oczy jej, pełne zachwytu, skierowane były na olbrzymiego puszystego Misia z błyszczącemi oczkami i wyciągniętemi przed siebie łapkami. — W całej postaci dziewczynki tyle było podziwu i tyle pożądania zabawki, żeśmy mimowoli przystanęły. Janka podeszła do dziewczynki, pytając, czy jej się Misio tak podoba i czy jej go nie chcą kupić.

— Mama nie chce kupić! — odrzekła dziewczynka smutnym głosem, w którym dźwięczała zawziętość.

Janka, nie namyślając się ani chwilki, weszła do sklepu, kupiła Misia i oddała dziecku.

Dziewczynka porywa zabawkę, tuli w ramionach i ucieka bez słowa podzięki.

Poczynam się śmiać.

— Co za sentymentalizm czy też przesądy!

— Nie — odpowiada mi Janka — to tylko wspomnienie z mego dzieciństwa, nic więcej. Gdyby w pewnej chwili ktoś uczynił dla mnie to, co ja uczyniłam dla tej małej dziewczynki, to życie trojga istot nie byłoby zrujnowane.

Posłuchaj!

Byłam podobna do tej małej dziewczynki, a w mem rodzinnem mieście podziwiałam wystawy. Na jednej z wystaw w blaskach promieni słonecznych wisiały — wielkości orzechów — korale. Szły od nich blaski tęczowych świateł, mieniły się cudnemi barwami, igrały z promieniami słońca, śmiały się do mnie. Czy wiesz, czem są życzenia małych dziewczynek? Z tego dorośli nie zdają sobie sprawy...

Prosiłam matki, błagałam ze łzami w oczach, odmówiła. Zaczęłam być natrętną, wykrzyczała mnie i zbiła po łapach. Nie była złą matką, lecz byliśmy wtedy rodziną urzędniczą, tak że wszelkie wydatki niespodziewane były dla nas niemożliwe...

Lecz ja tak prędko nie zrezygnowałam...

Codziennie nakładałam drogi, by podziwiać moje korale, a one śmiały się do mnie, ciągnęły swym czarem i coraz bardziej do siebie przykuwały. Nie umiałam sobie wyobrazić, że ich nigdy nie posiądę...

Postanowiłam zwrócić się do ojca. Któregoś poobiedzia, gdy powracał z biura, czekałam nań i zaprowadziłam przed swą wymarzoną wystawę...

— Zobacz ojcze! jakie cudne korale!

Ale on nie czuł żadnego zachwytu dla moich korali. Ojcowie miewają takie chwile, gdy nie interesują się zupełnie sprawami i uczuciami swych dzieci.

Ale ja pragnęłam tych korali całym uporem małej kobiety, żyłam niemi, wprost wrosły mi w duszę.

— Ojcze! Kup mi te korale — rzekłam — opowiem ci coś za to.

— Co mi opowiesz? — spytał rozbawiony mym pomysłem.

— Powiem ci coś o matce!

Czułam wtedy, jak zadrżała dłoń mego ojca.

— Nie należy nic złego mówić o matce — rzekł krótko.

Ojciec nie zgadzał się na moje zwierzenia, tyle wtedy zrozumiałam. A po latach jeszcze słyszałam intonację, z jaką to powiedział.

Zrozumiałam obawę człowieka, który nie był pewien miłości swej żony. Wolał nie wiedzieć...

Matka moja była piękna i próżna kobieta. Podobna do wielkiej lalki z chabrowemi oczyma. Cudne złote włosy, skręcone w piękne loki, okalały małą kształtną główkę. Delikatny owal twarzy nadawał jej wyraz dumnej markizy. Ojciec musiał ją bardzo kochać.

Pamiętam ich bardzo dobrze. Spacerowali zawsze we dwoje po naszym małym ogródku, a potem spacerowali we troje z panem Edwardem. Bywał u nas codziennie. Dzieci widzą nieraz więcej, niż należy...

Tego wieczoru wróciliśmy do domu w milczeniu. Ojciec był bardzo roztargniony, matka patrzyła nieruchomo w płomień lampy, a modre źrenice jej świeciły dziwnym tęsknym blaskiem. Obiad skończył się szybko. Ja myślałam ciągle o swoich koralach.

— Powiedz no — rzekł do mnie ojciec — coś mi chciała powiedzieć o mamie?

Działo się to w ogrodzie. Byliśmy sami.

— A jeśli ci powiem, to kupisz mi korale?

— Obiecuję ci!

— Przysięgnij!

— Przysięgam! — głos jego drżał przytem.

— A więc słuchaj — mówiłam szeptem — pan Edward przychodzi do nas co sobotę, gdy ty jesteś w biurze. Zamyka się z mamą w pokoju...

— E, zdaje ci się — rzekł ojciec...

* * *

Nigdy nie zapomnę tej fatalnej soboty, która nastąpiła po tej rozmowie.

Gdy wróciłam ze szkoły, zastałam cały dom przewrócony do góry nogami. Mieszkanie było zrujnowane, suknie matki, podarte i zwinięte w kłębek, wałęsały się po pokoju...

Ojciec miał straszne oczy i bladą twarz. Gdy mnie spostrzegł, zaczął się śmiać!

— Chcesz korale? Chodź! to ci je kupię, przysiągłem ci przecież.

Poszliśmy do sklepu. Korale otrzymałam.

* * *

Wróciliśmy do opuszczonego i opustoszałego domu. Gdy podniosłam oczy na ojca, ujrzałam wielkie łzy, które spływały mu na siniejące rysy. Zrozumiałam wtedy, co uczyniłam i jak straszną ceną okupiłam korale, które rozpalonem żelazem przypiekały mi szyję... Dostałam gorączki i majaczyłam. Widziałam przez sen straszne rozszerzone oczy ojca, z których padały krwawe łzy i zamieniały się w korale, które wężowym sznurem zaciskały się wokoło szyi i dusiły mnie, dusiły do utraty tchu... A potem... ojciec się rozpił i umarł. Mnie zabrała ciotka. Była dla mnie zła i biła mnie. Ot, los dzieci rozwiedzionych rodziców.

A matka — była nieszczęśliwą żoną pana Edwarda. Zdradzał ją i maltretował. Nie ujrzałam jej już nigdy...

Janka zamilkła. Jej piękne chabrowe oczy pełne były łez.

A potem dodała drżącym głosem:

— Czy teraz rozumiesz, dlaczego kupiłam Misia tej małej dziewczynce?

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI

Królewski rumak

Ze zbioru poezji chińskiej: „Szy-King“

I

Władca Kin-Tzong, potężny pan, król z dziada i pradziada
obszary wielkie posiadł był i koni liczne stada.
I w dzień i w noc wśród pól i łąk rżąc pasły się rumaki,
bo tak rozkazał władca sam, więc zwyczaj był już taki.
Wśród wielu jeden rumak był — prawdziwy cud, zaiste,
takie wspaniałe chrapy miał i ślepia tak ogniste.
O jakże piękny był ten koń, gdy dnia każdego z rana
stał przed pałacem, rżąc u wrót w oczekiwaniu pana —
kędziorną grzywą dumnie trząsł, o ziemię bił kopytem,
a linję karku taką miał, że sam Kin-Tzong z zachwytem,
nim złotą uzdę wziął do rąk, mawiał, że istne licho
siedzi w rumaku pięknym tym (tak mawiał zawsze z pychą).
Więc pod namiotem w cieniu drzew osobno był trzymany,
wierny go pański sługa strzegł, hojnie wynagradzany.

II

W zamku wesoła uczta trwa — zjechali się książęta,
takich przysmaków, takich win nikt zdawna nie pamięta.
Kin-Tzong, by uczcić gości swych, otwiera wszerz komnaty,
a w każdej nowe skarby ma, gdyż bardzo był bogaty.
I goście chodzą tu i tam, nie ukrywając wcale,
iż żaden z nich, choć księciem jest, nie mieszka tak wspaniale,
a z tego dumny jest Kin-Tzong, i goście też mu radzi,
więc żeby większy wzbudzić dziw, do konia ich prowadzi:
— Ach, jak zazdrościć będą mi, gdy każdy go zobaczy!
Lecz do namiotu ledwie wszedł, z ust dobył krzyk rozpaczy
i, jak zraniony grotem lew, zaryczał obłąkany:
— Nie żyje koń mój, sztywny już, na pysku kłęby piany,
uzda mu w kark werżnęła się! — i miecz dobywszy długi,
okropnej zemsty grozą wrąc, biegł do drżącego sługi,
gdy wtem ktoś chwycił go za dłoń i wstrzymał miecz w zapędzie,
wszystkim zaparło w łonie dech — czekali, drżąc, co będzie.

III

Groźnie obejrzał się Kin-Tzong...
Stał przed nim starzec siwy
i kornie błagał w słowa te: — Ach, stłum gniew popędliwy,
królu litosny, władco nasz, i daruj jedną chwilę,
nim śmierć mu zadasz, bym go wpierw pouczyć mógł, o ile
cięższy, niż inne, jego grzech!
Przyzwolił król starcowi
i słuchał wsparty na swój miecz, ciekaw, co słudze powie.
— O nędzny, wiesz, iż winy trzy splamiły ci sumienie:
po pierwsze przez niedozór twój niewinne to stworzenie
padło, bo źle troszczyłeś się, po drugie zwiodłeś pana,
który twej cnocie ufał był, co wszystkim była znana,
wreszcie, a to najcięższy grzech, iż dobry król przez ciebie
dziś miłosierdzia zbyć się chce, zemsta mu pierś kolebie.
Czy wiesz, że dotąd cały kraj swe bóstwo widział w królu,
więc gorzkie łzy popłyną z ócz, a serca zamrą z bólu,
gdy się rozejdzie głucha wieść i niechęć ludu wzbudzi,
że pan za konia, co mu padł, zabija w gniewie ludzi.
— Dzięki ci, starcze! — przerwał król, chowając miecz swój długi:
— Wybaczam ci przewinę twą — łaskawie rzekł do sługi.

Jak są strzeżone granice zachodnie Rzeczypospolitej...



Wiernym towarzyszom Straży Celnej jest pies, wróg przemytników i podejrzanych elementów

Mało interesujemy się obroną naszych granic zachodnich, mając oczy skierowane na wschód, o którym głośniej i powszechniej rozprawia się u nas.

To też wiemy wiele o naszych dzielnych baonach Korpusu Ochrony Pogranicza, dzierżących świetnie straż tam, gdzie przyczajone węże probują ze swoim jadem przepełzać do Polski, natomiast obcą jest nam prawie co do swego życia i swej działalności Straż Celna, która pilnuje granic Rzeczypospolitej na zachodzie.

A ciężka to jest służba, wymagająca też ofiary i poświęcenia od tych, co pragną wywiązać się ze swych szczytnych obowiązków z całem poczuciem obywatelskiem i korzyścią dla państwa.

I trzeba oddać sprawiedliwość, iż nasza Straż Celna, aczkolwiek młoda i ciągle podlegająca potrzebnym i niepotrzebnym reorganizacjom instytucja, rozwinęła się własnym pędem, skupiając w szeregach swoich dużo jednostek dzielnych i gorąco oddanych swemu zawodowi.

I dzięki temu granice zachodnie Polski posiadają także zwarte kadry tych, co wiernie i nieustannie pilnują, aby dobro Rzeczypospolitej na szwank narażone nie było. Nie tyle grozi nam z tej strony zatruwanie dusz gangreną tej propagandy, na jaką wysila się nasz sąsiad wschodni, ile zakorzenione od długich lat przemytnictwo, godzące w interesy polskiego skarbu, w polski przemysł i handel.

W tym też kierunku skupiona jest cała energja obrony i walki, a że są rezultaty, to świadczy chociażby utarte wśród zawodowych przemytników i gorzkie dla nich w swej treści zdanie:

— Prędzej przemkniesz się przez ucho igielne, niż koło celnika polskiego...

Zwłaszcza ostatniemi czasy dotkliwie daje się na granicy zachodniej we znaki przemytnictwo tytoniowe. Szmuglują go całemi worami.

A zresztą czego się nie przemyca?

Wszystko, cokolwiek przenieść czy przewieźć można poza granice, nie płacąc cła, jest towarem dla przemytnika. Nałóg ten zwłaszcza zakorzenił się u ludności pogranicznej, dla której kontrabanda stanowi jedno ze źródeł łatwego zarobku.

Ręce do góry! Żartów niema, gdyż w razie oporu pada strzał, od którego, jak widzimy na fotografji, jeden z podejrzanych leży rozciągnięty na murawie.

Tak wygląda prawie codziennie procesja przemytników przyłapywanych na granicy i odprowadzanych do

GUY DE MAUPASSANT

Przygoda Markiza

Oto, co na zakończenie obiadu u barona Ravela, w dzień św. Huberta, opowiedział nam sędziwy markiz d'Arville.

W ciągu dnia polowano na jelenie. Wśród uczestników obiadu jeden tylko markiz nie brał udziału w polowaniu, gdyż nie polował nigdy.

Podczas całej uczty, trwającej bardzo długo, mówiono jedynie o zabijaniu zwierzyny. Nawet kobiety żywo się interesowały temi historjami krwawemi i często nieprawdopodobnemi, a opowiadający naśladowali gestami ataki i walki myśliwych ze zwierzętami, grzmiącym głosem cytując swe przygody.

Pan d'Arville mówił dobrze, z pewnym polotem poetyckim, trochę może za szumnie, lecz efektownie. Niejednokrotnie widocznie powtarzał był to zdarzenie, gdyż opowiadał je płynnie, nie namyślając się nad słowami, dobranemi zręcznie dla uplastycznienia obrazu.

— Ja, panowie, nie polowałem nigdy, a tak samo mój ojciec i dziad, a nawet pradziad. Ten ostatni był synem człowieka, który polował był więcej, niż wy wszyscy razem wzięci. Umarł w r. 1764. Opowiem wam o jego śmierci.

Nazywał się Jan, był żonaty i miał jednego chłopca, późniejszego mego pradziada. Z młodszym swym bratem, Franciszkiem d'Arville, zamieszkiwał nasz zamek Lorraine, wznoszący się w pośrodku lasu.

Franciszek d'Arville pozostał kawalerem przez namiętną pasję polowania.

Obydwaj bracia polowali przez cały rok boży, bez przerwy, bez wytchnienia, bez odpoczynku. Była to jedyna ich namiętność; niczego innego nie kochali, nie rozumieli; nie mówili o niczem innem, żyjąc jedynie dla łowów.

Całe ich serca przepełniała ta namiętność straszna, nieubłagana. Paliła ich, pochłonąwszy całe ich istnienie, nie pozostawiwszy miejsca na nic innego.

Wydali rozkaz, by nigdy, dla żadnego powodu, nie przeszkadzano im w polowaniu. Pradziad mój urodził się w chwili, gdy ojciec jego tropił lisa, a Jan d'Arville wcale nie przerwał pościgu, zakląwszy tylko:

— Do stukroć kaduków, łajdak ten mógł chyba zaczekać, aż zagrzmi nasze hallali!

Brat jego, Franciszek, był jeszcze bardziej roznamiętnionym myśliwym. Od samego ranka odwiedzał psy, konie, strzelając następnie do ptaków w pobliżu zamku, aż do chwili wyruszenia na grubszą zwierzynę.

Starszego nazywano w kraju markizem, drugiego młodym panem, gdyż szlachta ówczesna inną była od tej przypadkowej, dzisiejszej, co w tytułach zaprowadzić chce hierarchję dziedziczną. Syn bowiem markiza nie jest wcale hrabią, ni syn wicehrabiego baronem, tak samo jak syn generała nie jest dziedzicznie pułkownikiem. Ale licha próżność czasów dzisiejszych korzysta z takiego stanu rzeczy.

Wracam jednak do mych przodków.

Byli oni, jak się zdaje, wzrostu olbrzymiego, budowy kościstej, owłosieni, porywczy, niesłychanie silni. Młodszy, wyższy jeszcze wzrostem od brata, miał głos tak potężny, że według podania, z którego był dumny, wszystkie liście w lesie się trzęsły, kiedy on krzyknął.

A kiedy wsiadali na koń, by ruszyć na polowanie, wspaniale musieli wyglądać dwaj ci olbrzymi na swych potężnych rumakach.

Otóż podczas zimy r. 1764 mrozy chwyciły straszne, a wilki rozzuchwaliły się jak nigdy.

Napadały nawet włościan, późno wracających do domu, okrążały nocą domy, wyły od zachodu słońca aż do świtu, ograbiając stajnie.

Niebawem zaczęła obiegać wieść straszliwa. Mówiono o potwornym wilku, sierści szarej, prawie białej, który pożarł dwoje dzieci, kobiecie jakiejś odgryzł ramię, strażnikowi wiejskiemu podusił wszystkie psy i bez trwogi zapuszczał się do zagród, węsząc pod drzwiami mieszkań. Wszyscy mieszkańcy zapewniali, że czuli oddech tej bestji, od którego światło lamp dygotało w izbach. I rychło strach upiorny objął całą prowincję. Nikt nie odważył się wyjść za próg po zachodzie słońca. W mroku zdawało się straszyć widziadło tego potwora...

Bracia d'Arville postanowili odkryć go i zabić, sprosiwszy w tym celu na wielkie łowy całą szlachtę okoliczną.

Na nic się to nie zdało. Przetrząsano całe bory, przeszukiwano zarośla — nigdzie nie napotkano potwora. Zabijano mnóstwo wilków, ale nie tego. I każdej nocy po daremnych łowach, zwierz, jakby przez zemstę, napadal jakiegoś podróżnego lub pożerał bydlę, zawsze w znacznej odległości od miejsca, gdzie go tropiono.

Pewnej nocy wtargnął do chlewka zamku d'Arville i pożarł dwa najpiękniejsze wieprze.

Obaj bracia zawrzeli gniewem, uważając napad ten za urągliwe wyzwanie bestji, za obelgę bezpośrednią. Zabrali wszystkie swe najsilniejsze ogary, przywykłe do ścigania zwierzyny najgroźniejszej i ruszyli na łowy, dławieni wściekłością.

Od najwcześniejszej jutrzenki aż do chwili, kiedy słońce purpurowe tonęło za wielkiemi drzewami, ogołoconemi z listowia, przetrząsali wszystkie gąszcze — napróżno.

Wówczas obydwaj zrozpaczeni i wściekli, puściwszy konie swe stępem, powoli wracali obsadzoną krzakami aleją, rozmyślając nad chytrością zwierza, w niwecz obracającego całą ich sztukę, ogarnięci nagle tajemniczą jakąś trwogą.

Starszy rzekł:

— To jakiś zwierz niezwykły. Zdaje się myśleć, jak człowiek.

Młodszy odparł:

— Możeby należało kazać poświęcić kulę przez naszego kuzyna, biskupa, lub też prosić którego z księży, by wypowiedział formułę zaklęcia.

Poczem zamilkli.

Jan podjął znowu:

— Patrz, jakie słońce jest czerwone. Ten wilk sprowadzi tej nocy jakieś nieszczęście.

Ledwie wypowiedział te słowa, gdy koń jego stanął dęba, a wierzchowiec Franciszka rzucił się w tył. Z pośród zarośli, pokrytych zeschłem listowiem wyskoczył zwierz ogromny, całkiem szary i pędem rzucił się w las.

Obaj myśliwi wydali ryk radości i pochyliwszy się na siodłach, pchnęli konie całym ciężarem swych naprzód podanych ciał, podniecając je

głosem, gestem i ostrogą, niemal odrywając od ziemi, że wydawało się, iż dwaj ci olbrzymi w potężnych swych udach dźwigają konie i unoszą się w powietrzu.

Tak, wyciągniętym galopem, mijali zarośla, przesadzali jary, wspinali się na wzgórza, przeskakiwali parowy, dmąc w rogi, z pełnych piersi, dla przywabienia ludzi swych i psów.

Nagle, wśród tego szalonego galopu, pradziad mój uderzył czołem o olbrzymi konar, który mu rozłupał czaszkę; trupem stoczył się na ziemię, a przerażony koń popędził przed siebie, aż przepadł w mroku gęstego boru.

Młodszy d'Arville zatrzymał się w okamgnieniu, pochwycił brata w ramiona, by ujrzeć, jak mózg wraz z krwią wypływa z rany.

Usiadł obok zwłok, złożył na swych kolanach twarz zmienioną i krwawą i tak trwał, zapatrzony w nieruchomą twarz brata. Zwolna ogarniać go zaczął lęk, lęk szczególny, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył, lęk przed cieniem, przed samotnością, przed lasem pustym, a także przed tym wilkiem fantastycznym, co oto zabił brata, by się zemścić na nich obu.

Mrok zapadał coraz gęstszy, mróz chwytał tak straszny, że drzewa w okół trzaskały w jego uścisku potwornym. Franciszek wstał, drżący, nie mogąc tu dłużej pozostać, bliski omdlenia. Nic już nie było słychać, ni głosu rogów, ni ujadania ogarów; cisza zaległa niewidzialny krajobraz, a żałobne to milczenie zlodowaciałego wieczoru, miało w sobie coś przerażającego i obcego.

Rękoma olbrzyma dźwignął ogromne ciało Jana, wyprostował i ułożył w poprzek siodła, by je tak odwieźć do zamku. I ruszył powoli, oszołomiony, jak gdyby sobie był dobrze podchmielił, ścigany przez widziadła straszne i pełne grozy.

Aż tu na ścieżce w mroku pogrążonej, przemknął cień ogromny. Był to zwierz. Dreszcz grozy przeszył myśliwego; coś zimnego, jak kropla wody, spłynęło mu wzdłuż pleców i jak zakonnik straszony przez djabła, nakreślił wielki znak krzyża, do najwyższego stopnia przerażony nagłym powrotem strasznego włóczęgi. Ale oczy jego padły na martwe ciało na siodle i nagle lęk jego przeobraził się w gniew, we wściekłość bezprzytomną.

Pchnął konia ostrogą i rzucił się w pogoń za wilkiem.

Pędził za nim przez zagajniki, bory i wyręby, przebiegając lasy, których nie poznawał, wzrok wlepiwszy w białą plamę, uciekającą skróś nocy, otulającej ziemię.

Koń zdawał się również ożywiony siłą i zapałem nieznanym. Galopował z wyciągniętą szyją, naprzód, przed siebie, o drzewa i skały zawadzając głową i nogami trupa, rzuconego w poprzek siodła. Konary rosochate szarpały jego włosy; czoło uderzając o pnie ogromne, zalewało je krwią, gdy ostrogi odrywały całe szmaty kory drzewnej.

Nakoniec koń i jeździec wydobyli się z lasu i skoczyli w dolinę, gdy księżyc wypływał właśnie z za drzew. Dolina to była kamienista, zamknięta ogromnemi skałami bez wyjścia, a wilk osaczony w ten sposób, przystanął.

Franciszek wydał wówczas ryk radości, który odbity echem rozległ się jak huk grzmotu i zeskoczywszy z konia, rzucił się naprzód, dzierżąc w ręku kordelas.

Zwierz ze zjeżoną sierścią i grzbietem kabłąkowato napiętym, czekał ataku; oczy świeciły mu jak dwie gwiazdy. Jednakowoż przed wydaniem walki, silny myśliwy, uniósłszy w rękach zwłoki brata, usadowił go na skale i kamieniem podparłszy głowę, która była już tylko jedną masą krwawą, krzyknął mu do ucha, jak gdyby mówił do głuchego: — Patrz, Janie, patrz!

Poczem rzucił się na potwora. Czuł w sobie taki napływ sił, że mógłby obalić górę, kamienie kruszyć w rękach. Zwierz chciał go ukąsić, rozerwać mu brzuch, lecz on, nie posługując się nawet kordelasem, chwycił go za kark i począł dusić powoli, wsłuchując się w ustający oddech i milknące bicie serca. I śmiał się w zapamiętaniu, coraz to potęgując uścisk straszliwy, w radości bezprzytomnej, wołając:

— Patrz, Janie, patrz!

Zniknął wreszcie wszelki opór; ciało wilka zwiotczało. Nie żył.

Wówczas Franciszek chwycił go w ramiona, uniósł i rzuciwszy do stóp brata, powtarzał głosem tkliwym:

— Patrz, patrz, patrz, Janeczku, oto go masz!

Następnie umieścił na siodle dwa trupy, jeden na drugim i ruszył z powrotem.

Przybył do zamku, śmiejąc się i płacząc, jak Gargantua przy narodzinach Pantagruela; wydawał okrzyki triumfu i upajającego szczęścia, opowiadając o pokonaniu zwierza; jęczał i włosy sobie wyrywał, gdy mówił o śmierci brata.

I nieraz, wracając później do wypadków tego dnia, mówił ze łzami w oczach:

— Gdyby tylko biedny Jan widział był, jak dusiłem tego potwora, byłby umarł zadowolony, jestem tego pewny!

Wdowa mego pradziada wpoiła w osieroconego syna wstręt do polowania, który odtąd przechodził kolejno z ojca na syna.

Markiz d'Arville zamilknął. A ktoś spytał:

— Opowiadanie to jest legendą, nieprawdaż?

A opowiadacz odparł:

— Przysięgam, że jest prawdziwe od początku do końca.

Wówczas jedna z kobiet cienkim, słodkim głosikiem oświadczyła:

— To wszystko jedno. A jednak piękne są podobne namiętności.

DE-JANA

Shimmy

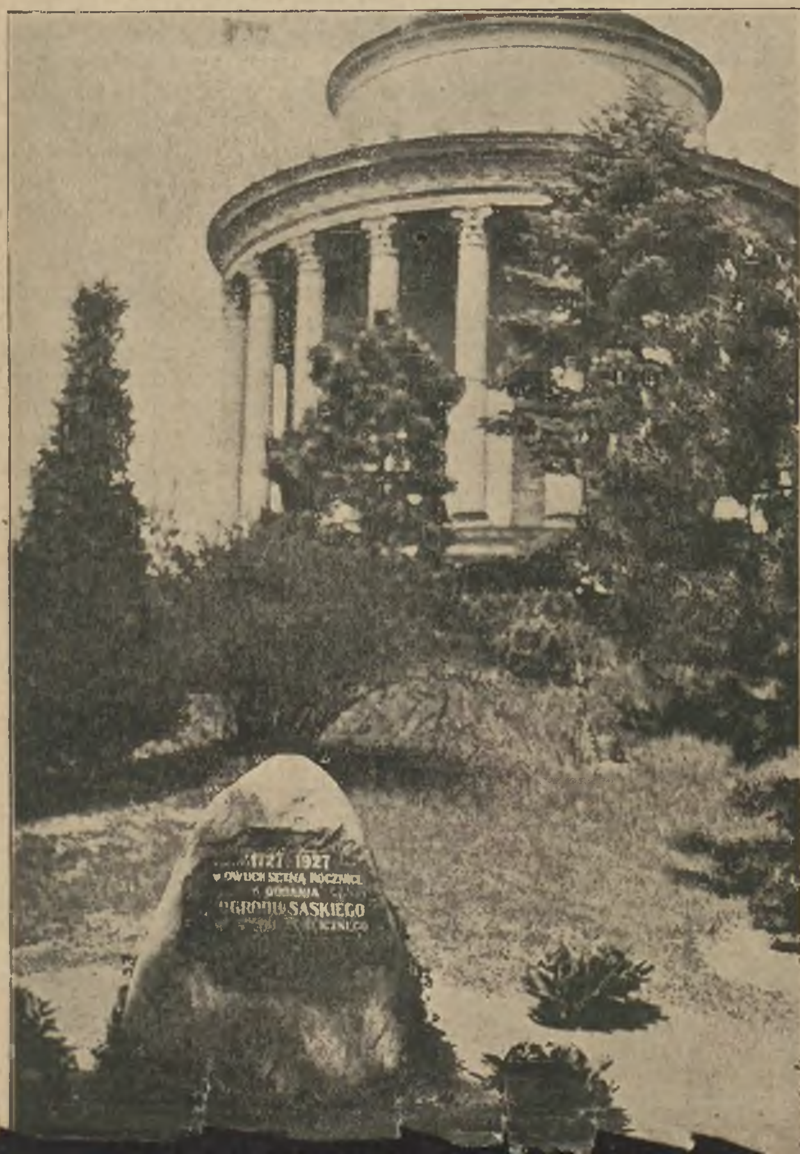
Z cyklu: „Kolombina"

Kolombina gra shimmy, siedząc w „grand" salonie,
Arlekin drzemie zdala w swoim gabinecie,
A obok Kolombiny, na nizkiej kozecie
Siedzi Pierot — i w dźwiękach, jak w kaskadzie, tonie...

Gdy skończyła — on schylił się w podzięce za nie,
Zaś ona mu podała swych korali usta...
Chciała się długo bawić Kolombina pusta,
Lecz nic z tego — Arlekin wszedł niespodziewanie...



W całej Polsce na wierną służbę Rzeczypospolitej składają uroczyście przysięgę rekruci, stając się od tej chwili żołnierzami



Kamień pamiątkowy w dwóchsetlecie Ogrodu Saskiego w Warszawie



Znakomity muzyk polski, Grzegorz Fitelberg, odznaczony został wysokim orderem włoskim (komandorją „Corona d'Italja")

Rozpowszechniajcie „Ilustrowany Tygodnik Polski"





Niedawno odbyło się w Polsce pierwsze posiedzenie Synodu Prawosławnego w Rzeczypospolitej z metropolitą Dyonizym na czele.

Tajemniczy uśmiech premjera angielskiego Chamberlaina po deklaracji o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Sowietami



Bohater dni ostatnich, młody lotnik amerykański Lindbergh, jest gościem królów, prezydentów i wielkich ludzi świata, składających mu hołdy za śmiałość pokonania przestworzy pomiędzy Ameryką a Francją



Na stacji Viktoria w Londynie licznie zgromadzili się pielgrzymi, udający się do Lourdes, by pomodlić się przed cudownym posągiem Matki Boskiej

Plebiscyt „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego"

Mój pogląd na nałóg palenia i picia

Z AFORYZMÓW O PALENIU I PICIU

Alkohol odżywia i rozgrzewa, kawa i herbata dodają energji, tytoń dezynfekuje jamę ustną: oto higjena samobójców!

*

Alkohol powinien powrócić tam, skąd wyszedł, to jest do apteki.

*

Palenie tytoniu nie wiele różni się od zażywania morfiny.

*

Gdyby pijaństwo, obżarstwo i rozpusta nie powodowały cierpień, toby było o wiele więcej pijaków, obżartuchów i rozpustników.

*

Jakiem prawem palący tytoń zatruwają powietrze całemu, bliższemu i dalszemu otoczeniu?!

*

Podatki z tytoniu i alkoholu wypełniają podobno, kasy państwowe; lecz nikt nie obliczył, ile tytoń i alkohol zabierają w formie wydatków na szpitale, domy poprawy i więzienia!

Dr. med. Stanisław Breyer.
Kraków.

KOBIETY, NIE PALCIE!...

Podobno palenie tytoniu szkodzi zdrowiu, ja zaś uważam, że szkodzi najwięcej kieszeni.

Sama jestem paląca i to od lat dziesięciu, a ileż razy spotkałam się w ciągu tych lat z uwagą:

— Jak pani świetnie wygląda!

Jestem zdrowa, niemodna dziś, bo okrągła, i mam czerstwą cerę, choć bez dawnych rumieńców, co niejedni znajomi uważają za wpływ tytoniu, a czem ja się nie martwię, boć to i buzie rumiane też nie są w modzie, i wiem, że lata więcej robią, niż palenie tytoniu: ścierają rumieńce młodości z naszych twarzy.

To jednak należy do rozpraw lekarskich.

Sądzę, że palenie nikogo nie hańbi i nie upadla, ale każdej kobiecie radziła-



bym strzec się przed tym nałogiem, bo choć nie hańbi, jak powiedziałam, ale i nie uszlachetnia i daje często złe świadectwo o osobie.

Ja, kobieta paląca, z całym niesmakiem odwracam się od kobiety, palącej w miejscu publicznem.

Zresztą — w każdych zdobyczach ktoś robi pierwszy krok, naraża się, inni idą na gotowe. Może to samo jest z paleniem tytoniu przez kobiety w miejscach publicznych.

Kobiet palących nie lubię, choć nie mam siły, żebym sama do nich nie należała — pokutuję za niemądrą niegdyś fantazję.

Mężczyzny niepalącego nie uznaję za prawdziwego mężczyznę. Papieros zrósł się z mężczyzną, jeśli tak można powiedzieć, jest jakby uzupełnieniem jego całości, dodaje mu powabu w każdych niemal okolicznościach.

Tylko budżet nasz dyszy pod ciężarem tytoniowym.



ZWALCZAJMY NAŁÓG PIJAŃSTWA!

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa pijaństwa.

Czy wódka szkodzi zdrowiu?

Znałam nałogowych pijaków, którzy zmarli w czasie wojny, a podobno musieli umierać z braku wódki. Znam i takich, którzy mimo pijaństwa dożyli lat 60-ciu, jeden z nich dobiega 70-tki, a wszyscy pracują ciężko, jako górnicy w kopalni węgla. Prawda, od lat kilku piją minimum tego, co pili w latach przedwojennych.

Według mnie, pijakiem zostaje człowiek słaby, a nadewszystko zły i niski.

Człowiek dobry, wrażliwy na cierpienia najbliższych, na ich nędzę, co zawsze idzie w parze z jego pijaństwem, człowiek honoru umie stanąć twarzą w twarz do swego tyrana — wódki, będzie miał siłę wczas otrząsnąć się i podnieść, jeśli nawet chwilowo upadł, bo jego szlachetna duma, jego lęk przed hańbą, która i za grób trafi, będą silniejsze i nie pozwolą mu być niewolnikiem strasznego nałogu.

Ileż krzywdy niesie pijak swej rodzinie, jakież upodlenie jest jego cieniem!

Duma, dobroć i szlachetność zwyciężają jednak pijaństwo.

Takich potężnych bodźców, jakie ma człowiek prawy w walce z wódką, nie ma, niestety, w zwyciężaniu tytoniu.

A ileż godziwszych przyjemności, kulturalniejszych mielibyśmy za pieniądze, które puszczamy z dymem papierosa?

Trudno, jest to nałóg kosztowny, ale nie upadlający.

Wódka jest hańbą człowieka cywilizowanego. Zwalczajmy więc niewolnictwo tego strasznego nałogu!

Al. Sierpińska
Miłosna

Kto wyrzeka na brak oświaty i upadek obyczajów, a nie popiera i nie rozpowszechnia zdrowych pism i książek, ten nic nie robi, aby zwalczać zło.

Jeżeli polubiłeś „Ilustrowany Tygodnik Polski" i uważasz go za dobre i pożyteczne pismo, jednaj mu nowych abonentów.



Paweł Helleu



Paweł Helleu: Obraz „pointe séche"

Zmarły niedawno w Paryżu znakomity artysta, Paweł Helleu, był specjalistą w tak zwanej sztuce „pointe séche", w której zyskał powszechny rozgłos, jako wyjątkowy talent.

Wszystkie nadobne panie paryskie ubiegały się o portrety z podpisem Helleu, co stało się modne, jako oznaka dobrego tonu i poczucia artystycznego.

Nieznaną zupełnie dziedziną twórczości Helleu, z którą się nigdy nie produkował, były obrazy, wprowadzające w podziw bogactwem tonów artystę, wyspecjalizowanego na grafice.

Ta dziedzina twórczości Helleu bodaj jest nawet najciekawsza i wymaga dokładnego przestudjowania, tem więcej iż zmarły artysta krył się z tajemnicą swej sztuki, unosząc ją ze sobą do grobu.

Z Filharmonji

W ubiegły piątek odbył się ostatni wielki koncert symfoniczny bieżącego sezonu.

Na program złożyły się dwa utwory symfoniczne: „Step", Noskowskiego, perła polskiej muzyki lirycznej, i „Don Kiszot" Straussa. Prowadząc te dwa utwory, dyr. Fitelberg jeszcze raz dowiódł, z jaką maestrją umie wyczuwać style. Gdy w utworze pierwszym dał szczery liryzm bez odcienia czułostkowości lub tkliwości, malując szlachetnemi kontrastami piękno opisu tonalnego, dał już w następnym utworze przepiękną groteskę donkiszotowską, dowcipną, czasami podkreślając jej śmieszność karykaturalnego ujęcia nastrojów. Zwłaszcza djalogi Don Kiszota (wiolonczela) z Sanszo-Pansą (altówka) lub przepyszny zawadjacki taniec, albo też walka z wiatrakami wypadła jasno i precyzyjnie. Na wielkim spomplikowanym aparacie instrumentacyjnym dyr. Fitelberg trzymał swoją doświadczoną rękę, prowadząc orkiestrę z finezją i kulturą artystyczną.

Na zakończenie sezonu wielkich koncertów symfonicznych wypada na tem miejscu wspomnieć, iż dyr. Fitelberg ma za sobą wielkie zasługi, położone na polu krzewienia muzyki w Polsce.

Jeszcze jedną ma zasługę dyr. Fitelberg, iż w stosunku do muzyki nie zna on żadnych względów, obce mu są wszelkie antagonizmy, i dzięki jego bezstronności mieliśmy możność w ubiegłym sezonie przesłuchać cykl koncertów o niezwykłej różnorodności programów: od muzyki z XVIII stulecia poprzez Haydna, Mozarta, Beethovena, Czajkowskiego, Chopina, Wagnera aż do Ravela, Szymanowskiego i Honnegera. Wszelkie epoki i style.

Solistą koncertu był p. Ginzburg, wirtuoz pierwszej miary, który zagrał bardzo trudny koncert fortepianowy Liszta, „Marzenia" Schumana i fantazję na temat „Fausta" Gounoda—Liszta.

Licznie zebrana publiczność z wdzięcznością i serdecznością długo niemilknącemi oklaskami żegnała wykonawców ostatniego koncertu.

Wysokie odznaczenie muzyków polskich

Przed kilku dniami w lokalu poselstwa włoskiego w Warszawie odbyła się uroczystość udekorowania trzech wybitnych muzyków polskich orderami włoskiemi, nadanemi za działalność na polu krzewienia muzyki.

Odznaczenia otrzymali: kapelmistrz orkiestry Filharmonji warszawskiej, Grzegorz Fitelberg — krzyż komandorski orderu „Corona d'Italia", oraz dyrektor Filharmonji warszawskiej, Roman Chojnacki i dyrektor konserwatorjum warszawskiego, Karol Szymanowski — krzyże oficerskie tego samego orderu.

Uroczystość dekorowania odbyła się przy asyście całego personelu poselstwa. Do odznaczonych przemówił minister pełnomocny i poseł króla włoskiego, p. Maioni, podkreślając znaczenie pracy udekorowanych dla rozwoju muzyki. Panu ministrowi odpowiedział p. Karol Szymanowski.

Emes.



Paweł Helleu: Portret

Rzeczy ciekawe



W stolicy otwarta została Międzynarodowa Wystawa sanitarno-wojskowa. Sanitarjat polski ma swoje chlubnie zapisane w dziejach karty. Na fotografji widzimy jednego z pacjentów sanitarjatu wojskowego, których setki i tysiące dostarczano do szpitali z pola walk podczas zmagań z nawałą bolszewicką. I mimo pogruchotanej szrapnelem szczęki bohaterski żołnierz żyje, ma wyłataną brodę, cieszy się dobrem zdrowiem i pracuje. Jest nim p. Jan Tumera, zamieszkały w Warszawie.

W okolicy Anapy i Jałty spostrzeżono podniesienie się dna morza Czarnego wskutek jakiejś niewyjaśnionej dotychczas podziemnej akcji geologicznej. Okręty z trudnością wpływają do portu w Jałcie.

*

W Sandomierszczyźnie, w okolicy Koprzywnicy, konserwator krakowski, dr. Józef Żurowski, wykrył szereg kopców, które, jak się okazało, są rodzajem mogił, usypanych nad grobami. Kopce mają 8 metrów wysokości i zawierają doskonale zachowane szkielety byków i świń, grzebanych w pozycji leżącej z podwiniętemi nogami pod głowę. Szkielety były ułożone na sposób, przypominający freski egipskie, oznaczające kult Apisa.

*

Znany multimiljoner, bankier niemiecki, Oscar Heilmann, popełnił w Dreźnie samobójstwo z powodu utraty całego majątku podczas ostatniej baissy giełdy berlińskiej.

*

Jeszcze jeden z wynalazców dokonał w tych dniach próby zastosowania telewizora przy aparacie telefonicznym, które dały niespodziewane wyniki. Dwie osoby, rozmawiające ze sobą między Londynem a Glasgowem, widziały się bardzo wyraźnie na odległości 650 klm.

*

Przedsiębiorca teatralny w Nowym Yorku, Sidney Grauman, wyznaczył nagrodę w wysokości 30.000 dolarów za dokonanie lotu bez lądowania na dystansie Los Angelos — Tokio. Odległość między temi miastami wynosi 5000 mil.

*

„Przegląd Sportowy" ogłosił na łamach swoich ciekawy konkurs fotograficzny na zdjęcia sportowe.

Trzeba dodać, że różne sporty dostarczają różnych stopni trudności. Tak więc zdjęcie np. szermierza, czy miotacza kuli lub konia na przeszkodzie jest wielokrotnie łatwiejsze od uchwycenia dobrego momentu piłkarskiego. W wypadku pierwszym miejsce działania obiektu fotografowanego jest określone niemal że ściśle, w drugim — jest najzupełniej dowolne i niemal że niemożliwe do uprzedniego określenia.

Konkurs ten otwiera pole do popisu przedewszystkiem dla fotografów miast prowincjonalnych.



Kawaranda, wódz afrykański, w uroczystym stroju galowym. Zwłaszcza rzuca się w oczy niezwykle bogaty ubiór głowy, którego pozazdrościćby mu mogła niejedna modna strojnisia.



Dużo nagiego ciała, dużo strusich piór... Mina też bojowa, jeśli chodzi o wdzięk.., Czy nie Kawaranda?



Srebrny świerk z tak zwanego „arborettum" zakładów ogrodniczych C. Ulricha. „Arborettum" stanowi żywy katalog ogrodniczy, pozwalający zorjentować się, jak piękne drzewka wyglądają po kilku latach

Amerykańska kolonja w Paryżu postanowiła ofiarować matkom i dzieciom zaginionych lotników francuskich, Nungessera i Coli, po pół miljona franków w dowód hołdu dla pamięci bohaterów. W ciągu jednego dnia zebrano blisko 500.000 franków.



Podczas zwiedzania zakładu dla obłąkanych ktoś pyta:

— A czy ten jest niebezpieczny?

— Nie, to dyrektor zakładu...



Amerykanie uprawiają sport nawet w więzieniu. Widzimy właśnie taką rozsportowaną grupę na podwórzu więziennem, która dba o wygląd i zdrowie, by w pełni sił i energji powrócić do zawodu, gdyż sport, aczkolwiek uszlachetnia, lecz nie wszystkich i nie zawsze



Kinopropaganda



Jackie Coogan, sława ekranu, obecnie kadet marynarki amerykańskiej, nie zaniedbuje jednak laurów kinematograficznych mając wkrótce grać główną rolę w jednym z filmów produkcji „Paramount."

Niejednokrotnie stwierdzaliśmy, jak potężnym czynnikiem propagandy jest film, nie szczędząc ostrych wystąpień przeciw poczynaniom zachodnich naszych sąsiadów, którzy, wbrew międzynarodowym uchwałom, z całą bezczelnością tworzą szowinistyczno-agitacyjne filmy w rodzaju „Land unterm Kreuz".

Tak postępują Niemcy. Nie inaczej działają w Sowdepji z tem większemi szansami powodzenia, iż na świecie całym dziwną popularnością cieszy się wszystko, co rosyjskie.

Wszak nawet w Warszawie w 5 kinach jednocześnie przy dźwiękach „trepaków", „wołżskich dumek" i tego rodzaju narodowej muzyki wyświetlano aż 5 filmów rosyjskich.

Przyznać należy Rosjanom, iż wielce oryginalnymi są realizatorami w dziedzinie sztuki. Zwłaszcza ultra-futuryści, którzy prześcigają się w fantastycznych pomysłach, znakomicie uplastyczniających tak przeżyte, jak i współczesne przejawy życia.

Morze krwi, trupy, brutalny realizm w podkreślaniu najpodlejszych instynktów ludzkich — wszystko, jak koszmar, przesuwa się przed oczami steroryzowanego widza, który powoli ulega rozkładowemu wpływowi tych strasznych wizyj.

Uniknęliśmy, na szczęście, wystawienia u nas „Potiemkina", straszliwej wizji rewolucji 1905 roku, film ten jednak z punktu widzenia sztuki zbyt jest ciekawy, by paru słów mu nie poświęcić.

Realizację „Potiemkina", tego filmu uczcić mającego dwudziestolecie rewolucji 1905 roku, powierzono utalentowanym Eisensteinowi i Tyssemu.

Postawiono jednocześnie niemożliwe do spełnienia zadanie nakręcenia 18,000 metrów filmu w niespełna 5 miesięcy.

Pomimo pełnej poświęcenia pracy reżyserów, operatorów, artystów i statystów, nie bacząc na wyjątkowo wydatną pomoc ze strony rządu, nie udało się dokończyć dzieła przed 1926 rokiem, przyczem użyto tak wielkiego bogactwa całkiem nowych na świecie środków technicznych pomysłu Tyssego, iż obraz ten stanowi rzeczywiście chlubę produkcji rosyjskiej. Najwięksi sceptycy skłonić musieli głowę przed tym filmem, nawet zacięci wrogowie wywrotowych jego tendencyj.

Drugim z kolei wykończonym przez Eisensteina filmem jest „Linja Centralna", film, gloryfikujący rzekomo dobroczynne wpływy kultury bolszewickiej. Po tym obrazie rozpoczęto realizację „Października", na pamiątkę rewolucji 1917 roku. O ostatniem dziele, którego realizacja rozpoczęta została w roku bieżącym, Eisenstein mówi, iż chciałby osiągnąć „paroksyzm techniczny, jedynie mogący iść w parze z dynamizmem naszych czasów".

Jak bliskie są te słowa dzikich pomysłów!

Nie żałują środków nasi sąsiedzi, a my?...

Nawet impreza miejska, stworzona w stolicy, miast służyć społeczeństwu pogłębia tylko walkę w sferach kinowych przez niekulturalną konkurencję. Zdobyć się możemy na bezcelowe waśnie i jałowe dyskusje, podczas gdy wróg, nie zasypiając sprawy, ciągle gotuje się do walki.

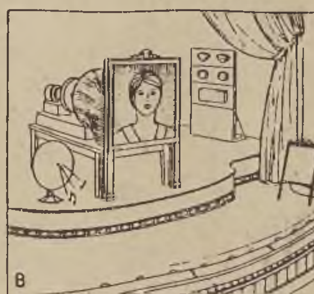


A więc możność nie tylko rozmawiania, lecz i widzenia się na odległość stała się faktem dokonanym.

Ilustracja nasza przedstawia szemat telewizji, na którym widzimy osobę rozmawiającą i odbicie postaci jej przy odbiorze.

Eksperymenty takie z niezwykłym rezultatem zostały ostatnio dokonane w Ameryce i w Anglji.











COŚ NA LATO...



Letnie sukienki bieżącego sezonu spotykać będziemy przeważnie z drukowanych woali i crêpe. Doskonale ubierają one zarówno dorosłe, jak i małe panie.

Poza grochami i groszkami—„cri" dzisiejszej mody — pięknie rozsypane kwiatki stanowić będą ulubiony deseń letnich materyj. Na zakończenia, — falbany, wstawki i obszywki, na kołnierze i paski przygotowano odpowiedni asortyment gładkich materjałów.

Ciekawą inowacją w dziedzinie nieprzemakalnych materyj jest impregnowanie lekkich tkanin.





Na rysunku widzimy podobny płaszcz z tak zwanego milwata crêpe de chine. Przybranie zrobione jest z welwetu, imitującego w danym wypadku modne skóry cielęce.



WĄGRY.

Wągry oraz nadmiernie wydzielający się tłuszcz, pochodzą od gruczołów łojowych skutkiem różnych anormalności, np.: złej przemiany materji, miejscowego nadziębienia, czasem wrażliwej nerwowości i t. p. Objawy są dość przykre, bowiem w różnych punktach widzi się otworki, napełnione tłuszczem, na których osadza się pył, i ten barwi naskórek na ciemno, akcentując bo bardzo widocznie, szczególnie w okolicy nosa, na czole między brwiami i na brodzie. Wynikiem tego są często rozszerzone pory i różne zabarwienia, co przyprowadza płeć piękną do rozpaczy.

Leczenie tych przypadłości wymaga dość długiego czasu, szczególnie jesli nie pochodzą od ogólnych niedomagań.

Miejscowe leczenie polega na systematycznem oczyszczaniu naskórka, do czego nadaje się piasek podług przepisu dr. Seguinauda (co trzeci dzień wyszczotkować tak, jak objaśnia przepis), również wanny parowe, albo lampa Minina, łyżeczka dr. Unny i d'arsonwalizacja. Raz na tydzień wymyć twarz wodą gorącą, a codziennie letnią.

Bardzo dobre rezultaty daje preparat „Otello', który stosować należy parę razy dziennie za pomocą namoczonej waty i lekkiem nałożeniem, czyli napuszczeniem rzeczonego płynu. Płyn „Otello" szybko schnie i po wyschnięciu zostawia mat, podobny do białego pudru. Ten właśnie mat, czyli osad działa głównie na wysuszenie nadmiernego tłuszczu...

W. Klimecki.





Obecny stan mistrzostw Ligi Piłki Nożnej

		I. F. C.	Czarni	T. K. S.	Ł. K. S.	Wisła	Pogoń	Warsz.	Polonia	Legja	Ruch	Jutrzenka	Turyści	Hasmon.	Warta	Bramek zdob	Bramek strac.	Punkt. zdob.	Punkt. strac.
Wisła	I	3:0	4:0	—	0:0	X	—	—	1:2	4:1	2:0	4:0	1:5	3:1	4:1	26	10	15	5
Ł. K. S.	II	—	—	4:1	X	0:0	0:2	1:2	—	—	3:1	—	2:0	3:0	2:1	15	7	11	5
T. K. S.	III	—	—	X	1:4	—	3:5	4:2	4:3	2:2	0:4	4:2	2:1	5:2	—	25	25	11	7
I. F. C.	IV	X	0:1	—	—	0:3	1:0	3:2	—	—	7:0	—	4:1	—	0:1	16	7	10	4
Ruch	V	0:7	—	4:0	1:3	0:2	—	0:0	5:3	—	X	3:1	2:0	1:1	—	16	17	10	8
Warta	VI	1:0	0:3	—	1:2	1:4	—	5:1	4:1	1:3	—	4:0	—	—	X	17	14	8	8
Legja	VII	—	—	2:2	—	1:4	4:3	1:4	2:2	X	—	—	6:1	—	3:1	19	17	8	6
Polonia	VIII	—	1:1	3:4	—	0:2	—	4:2	X	2:2	3:5	0:0	—	2:2	1:4	18	21	8	10
Czarni	IX	0:1	X	—	—	2:1	3:1	—	1:1	—	—	6:1	2:3	2:3	3:0	17	14	7	9
Pogoń	X	0:1	1:3	5:3	2:0	0:4	X	2:1	—	3:4	—	—	1:1	—	—	14	13	7	7
Warszaw.	XI	2:3	—	2:4	2:1	—	1:2	X	2:4	4:1	0:0	—	—	—	1:5	14	20	5	11
Turyści	XII	1:4	3:2	1:2	0:2	—	1:1	—	—	1:6	0:2	—	X	—	—	12	20	5	11
Hasm.	XIII	—	3:2	2:5	0:3	1:3	—	—	2:2	—	1:1	—	—	X	—	9	16	4	8
Jutrzenka	XIV	—	1:6	2:4	—	0:4	—	—	0:0	—	1:3	X	—	—	0:4	4	21	1	11

Z Automobilklubu Polski

Rally Paper

W czwartek ubiegły na szosach podwarszawskich rozegrano niezwykle emocjonujący i pełen wielu wzruszeń sportowych, o nieprzeciętnem napięciu Rally Paper, czyli pogoń za śladem. Zawody te polegają na przejechaniu pewnej marszruty, wyznaczonej za pomocą skrawków papieru, a mylonej na wszystkich rozstajnych drogach.

W imprezie tej nie pozbawionej wielu momentów humorystycznych i pełnej niespodzianek w rodzaju przeprawy promem przez Narew zwycięstwo odnieśli:

w klasie pań p. Marchlewska na Fiacie przed p. Regulską na Metalurgique;
w klasie panów: p. Kobylański na Fiacie przed p. Regulskim na Bugatti.

Międzynarodowy raid samochodowy

Zainteresowanie, jakie wzbudził tegoroczny międzynarodowy raid Automobilklubu Polski (5 — 10 czerwca r. b.) jest, jak na stosunki polskie, wprost wyjątkowe.

Liczba około 25-ciu wozów zgłoszonych dotychczas, jest nienotowana w stosunkach sportu samochodowego w Polsce i dowodzi o kolosalnym rozwoju automobilklubu sportowego u nas.

Bardzo poważny oddźwięk znalazły zamierzenia A. P. w wydziale samochodowym M. S. Wojskowych w osobie szefa tego wydziału pułk. Rückemanna, który na raid, poza dwoma wozami centralnych warsztatów samochodowych, puszcza szereg maszyn typu wojskowego. Zamierzenia wojska idą w kierunku stworzenia typu maszyny przystosowanej jaknajlepiej do polskich warunków drogowych, terenowych i klimatycznych, ze specjalnem uwzględnieniem wszelkich udogodnień technicznych, interesujących specjalnie wojsko.

Imponująca lista nagród przedstawia się następująco: M. S. Wojskowych, M. R. publicznych (dwie), Automobilklubu Polski, Komisji Sportowej A. P., prezesa A. P. p. Grodzkiego, „Przeglądu Sportowego", „Auta", świec Champion, Vacuum Oil Company, Etna Olej F. E. Mol. Tow. Ubezp. „Patria" i Poznańskiego Banku Ubezpieczeń.

Ponadto dla jeźdźców, którzy w klasyfikacji ogólnej zajmą pierwsze trzy miejsca Automobilklubu Polski przeznacza specjalne plakiety.

Komandorem raidu będzie przewodniczący komisji sportowej A. P. dyrektor J. Regulski, a vice-komandorami pp. Krasiński i Zeydowski.



Z jeźdźcami polskiemi, którzy wsławili się po całym świecie w ostatnich Konkursach Międzynarodowych, mogą iść w zawody tylko synowie preryj amerykańskich, cow-boye

Wśród kwiatów, roślin i nasion

Historja Ogrodu Saskiego łączy się z historją ogrodownictwa w Polsce, albowiem Sasi, zamiłowani wielbiciele wzorzystych kwietników i klombów, sprowadzali do stolicy wybitnych fachowców w tej dziedzinie, by przyozdobić miasto.

Takim był, jako jeden z pierwszych, Jan Jakób Mencke, powołany w roku 1712 do prowadzenia i ozdabiania Ogrodu Saskiego. Po jego śmierci, urząd ten sprawował nie mniej wybitny znawca i specjalista-ogrodnik, syn jego, Jan Krystjan Mencke, który zmarł w roku 1807, oddając swoje ogrodnicze berło do rąk zięciowi, Janowi Ulrichowi, założycielowi znanej w Polsce firmy ogrodniczej. Własne zakłady ogrodnicze firmy powstały w roku 1805 na gruntach wsi Grzybowa pomiędzy dzisiejszemi ulicami Twardą, Ciepłą i Grzybowską, stanowiącemi obecnie ruchliwą arterję miejską, gdzie jednak pozostała przy ulicy Ceglanej siedziba firmy wraz z bogatemi urządzeniami. Ogrody firmy obecnie znajdują się w Ulrichowie w granicach wielkiej Warszawy przy ul. Górczewskiej, zajmując przeszło 120 morgów obszaru.

Firma Ulrich w ogrodownictwie polskiem jest jedną z najbardziej zasłużonych w Polsce, wprowadziła bowiem kulturę nieznanych w kraju roślin, kwiatów i drzew, jak np. kamelij w 1822 roku, róży stulistnej w 1825 roku, hyacyntów, tulipanów, szafranów i t. d. Po śmierci założyciela firmy, Jana Ulricha, firmę prowadził Krystjan Ulrich, po nim syn jego Gustaw, który z kolei przekazał ją zięciowi, Arturowi Machlejdowi, obecnemu jego kierownikowi, któremu z zamiłowaniem pięknego fachu dzielnie sekundują dwaj jego synowie, a zatem w siódmem pokoleniu potomkowie założyciela Ogrodu Saskiego.

Z okazji jubileuszu Ogrodu Saskiego firma Ulrich urządziła piękną wystawę cennych dokumentów, dotyczących zarówno Ogrodu Saskiego, jak dziejów własnej firmy. Ze zbioru tego zaczerpnęliśmy kilka ciekawych pamiątek historycznych, które podaliśmy w reprodukcji.

*

Również przysłużył się Ogrodowi Saskiemu, przykładając rękę do piękna stolicy naszej, Piotr Hoser, sprowadzony w 1846 r. z Wiednia dla zaprowadzenia hodowli kwiatów. Jego zasługą jest wybudowanie szklarni, do dziś zwiedzanej przez publiczność warszawską.

Piotr Hoser był założycielem firmy „P. Hoser", chlubnie zapisanej na kartach ogrodownictwa w Polsce, prowadzonej przez syna jego, p. Wincentego Hosera.

Niezabudka

Z cyklu „Mowa kwiatów"

Modra niezabudka
jest znakiem wierności,
chociaż tak malutka
modra niezabudka.

Zła jest miłość krótka,
nie daje radości —
modra niezabudka
jest znakiem wierności.

Jan



Wincenty Hoser, zasłużony pionier ogrodnictwa w Polsce



Ś. p. Witold Kleniewski, ziemianin, który położył wielkie zasługi dla rozwoju ogrodnictwa w Polsce

Wincenty Hoser, z wykształcenia kronenberczyk, odziedziczył po ojcu ukochanie przyrody, której poświęcił cały swój życiowy zapał. Specjalnością jego jest hodowla nasion na wielką skalę i kwiaciarstwo.

Sprężyście prowadzona firma posiada rozległe szkółki drzew w Żbikowie i ogrody własne na kolonji Rakowiec pod Warszawą, w których na 40-morgowej przestrzeni intensywnie kultywowane jest kwiaciarstwo i nasiennictwo. Hodowla rozsad i roślin balkonowych, które znajdują coraz więcej miłośników, znajduje się przy ul. Wolskiej nr. 31.

— Mam lat 60 — mówi o sobie senjor firmy, Wincenty Hoser — nie wstydzę się tego i dzięki obcowaniu z naturą zakasować mogę niejednego młodego, chociaż pracy mam aż nadto na 24 godzin na dobę, gdyż zawód ogrodniczy, jeżeli go kto należycie pojmuje, wymaga olbrzymiego wysiłku i... nie znosi ośmiogodzinnego dnia pracy.

*

W dziejach ogrodnictwa polskiego zasługuje się również firma „Lemszczyzna — Szczekarków", posiadająca największe, bo kolosalnych sięgające rozmiarów, szkółki drzew owocowych i róż, założone w 1913 roku szczęśliwą dłonią ś. p. Witolda Kleniewskiego, jej twórcy.

Zbożny jej pracownik i zasłużony obywatel kraju rozstał się niedawno z życiem doczesnem w kwiecie wieku męskiego, licząc zaledwie 47 lat i okrywając stworzoną przez siebie placówkę i liczne instytucje w których był czynnym i ofiarnym członkiem, żałobą.

Ś. p. Witold Kleniewski, urodzony w 1880 roku, pochodził z rodziny ziemiańskiej. Z wykształcenia rolnik po ukończeniu akademji rolniczej w Hohenheim i długoletnich podróżach zagranicą osiadł na zagonach ojczystych w majątkach rodzinnych Szczekarków, Wilków i Lemszczyzna, poświęcając się między innemi hodowli ogrodniczej i nasiennej. Na tem polu zdobył rekord, świecąc przykładem licznym ziemianom, którzy szczególnie za czasów Wojny Światowej założyli wiele sadów w Polsce, poczynając zdradzać powszechniejsze zainteresowanie ogrodnictwem.

Ś. p. Witold Kleniewski był prezesem zrzeszenia szkółkarzy województwa lubelskiego, członkiem zarządu Polskiego związku wytwórców drzew i krzewów, komitetu Związku polskich zrzeszeń ogrodniczych, założycielem Syndykatu plantatorów chmielu i redaktorem i wydawcą „Ogrodnika".

3) Z naszych wycieczek letnich



Z obchodu 3-ego Maja w Pucku. Stoją od lewej: inspektor szkolny Górny, budowniczy powiatu Mroczkowski, aplikant starostwa Semrau, burmistrz St. Kamski, przewodniczący Rady miejskiej Krauze, starosta morski gen. Zaruski, dowódca Lotniska Morskiego komandor Durski, komendant Policji Państwowej Hermuła

Puck

Posądzać nas nie sposób o brak ruchliwości...

Z Łęczycy do Pucka, gdzie pragniemy zrobić cały szereg wycieczek, które przygotować będą mogły i naszych czytelników do letnich ekskursyj.

Przyjeżdżamy do Pucka, siedziby starostwa morskiego, sądu powiatowego, urzędu celnego i innych instytucyj, które małej mieścinie rybackiej nadały nowe tempo życia.



Stanisław Kamski, burmistrz miasta Pucka

Uprzejmym przewodnikiem naszym jest p. Stanisław Kamski, burmistrz m. Pucka, który, oprowadzając nas po miasteczku, udziela ciekawych objaśnień, wymownie świadczących o tym szybkim rozroście, który znamionuje wszystkie miejscowości nad polskim Bałtykiem.

Puck liczy 3500 mieszkańców. Posiada 7-io klasową szkołę powszechną i szkołę wydziałową, mieszczące się w specjalnie w tym celu ufundowanych gmachach przez miasto. Kanalizację i elektryczność, jak wszędzie w tej dzielnicy kraju. Puck posiada od szeregu lat, szczególnie, iż miasto należy do bogatszych na Pomorzu, majątek bowiem Pucka określić można na blisko 1 miljon złotych.

W takich warunkach łatwiej, oczywista, realizować poczynania o szerszym zakroju, o co usilnie starał się energiczny i dzielny burmistrz p. Kamski: za czasów jego urzędowania wybudowano gmachy szkolne, gmach dla straży pożarnej, 2 domy mieszkalne, przebrukowano wybrzeże, przebrukowano 2 ulice, na których ułożono kilkaset metrów chodników z płyt granitowych.

W sezonie letnim Puck przyciąga kilka tysięcy letników z całej Polski, którzy z pewnością korzystają tu z większego komfortu, aniżeli w wielu pięknie położonych, ale prymitywnie zabudowanych wsiach na wybrzeżu.



Poświęcenie sztandaru T-wa Powstańców i Wojaków w Pucku. Przemawia burmistrz St. Kamski



Starosta morski, gen. Marjusz Zaruski, przemawia na Rynku puckim

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

Jak Dyndała w czynach skory, listę stworzył na wybory...

Historja 8-a (dokończenie)



I Dyndała na ramionach,
za nim lud, jakby w miljonach,
niczem rzeka, gdy rwie tamy,
wali pod Ratuszu bramy —
policyjna władza na nic,
tłum w zapale nie zna granic...



Dumnie wchodzi pan delegat,
Mańka, tuż i Majchr-kolega...
Cześć! I strażak na ich przyjście
wydął brzuch swój uroczyście,
a policjant — sztuka chuda —
zwarł na „baczność“ cienkie uda...



Władza bije w dach bez przerwy,
aż Dyndała nabrał werwy
i pod boki wziął się oba:
— Oto lista, list ozdoba,
lud wypisał ją nie złotem,
lecz krwią własną, własnym potem!..



Lecz mu wkrótce przygasł humor,
bo się w biurze zrobił rumor:
— Skąd wziął listę pan dobrodziej,
co kandydat — zbój lub złodziej,
delegata marsz do paki,
pewnie ptak nie bylejaki!...



I Dyndała dostał drżączki,
władza wzięła go pod rączki,
a choć się tłumaczył biedak,
nic się jednak zrobić nie da,
bo na liście od Dyndały
nazwiska się zaczynały.



I, jako ta pszczółka w ulu,
chodził zgięty w kabląk z bólu
i rozmyślał nad swym losem,
posapując długim nosem,
strażnik zaś się śmiał za kratą:
— Mamy cię? Jak się masz, tato!...